SETKA PREMIER NA SUMIENIU

Ze szczecińskiego Parnasu – Ewa Kołogórska

W moim zawodzie nie chodzi o to, żeby przechodzić do historii. Chodzi o to, żeby mieć świadomość, że dało się ludziom chwilę wzruszenia – mówi jedna z najznakomitszych szczecińskich artystek Ewa Kołogórska.

Dzieciństwo miała wspaniałe. Urodziła się w Krakowie w 1925 r. Była jedynaczką. Rodzice mieli artystyczne dusze. Ojciec, wzięty adwokat, koncertowo grał na skrzypcach. Równolegle z prawem kończył w Wiedniu konserwatorium. Mama, doktor filologii germańskiej i romańskiej, za swoich studenckich czasów śpiewała w chórze akademickim.

– Dom był zawsze pełen muzyki, nawet pies był muzykalny – wspomina aktorka. – Gry mamy lub taty wysłuchiwał z zachwytem. Za to wył, kiedy ćwiczyłam na fortepianie.

U boku Osterwy i Ordonówny

Była cudownym dzieckiem. Kiedy miała sześć lat, rodzice posłali ją na lekcje tańca. Tańczenie szło jej lepiej niż gra na fortepianie. Już po roku otrzymała drugą nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Tańca w Warszawie (w kategorii dziecięcej), a rok później pierwszą nagrodę w Wiedniu.

Grywała również w krakowskim teatrzyku dziecięcym prowadzonym przez Marię Biliżankę. Pierwszym występem była popisowa rola beksy. Potem zaczęła się jej przygoda z „dorosłym" teatrem. „Wyłowiła" ją Hanka Ordonówna. Na koncert Ordonki dziewięcioletnia Ewa poszła z rodzicami. Natychmiast przesiadła się z trzeciego do pierwszego rzędu, żeby dobrze widzieć. Reagowała tak przekonująco, że rozbawiona gwiazda zadedykowała jej ostatnią piosenkę. Potem z rodzicami poszli za kulisy. Tam był też Juliusz Osterwa, który zaproponował małej występ w teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Zagrała pierwszą rolę – Marysię w „Ptaku" Jerzego Szaniawskiego u boku Osterwy i Ordonówny. Potem grała już wszystkie dziecięce role na tej scenie.

Z Warszawy do Szczecina

– Gdy wybuchła wojna, miałam 13 lat – wspomina. – A kiedy się skończyła, już 19, w tym trzy spędzone w obozach koncentracyjnych (m.in. w Oświęcimiu). Ważyła 28 kg, miała tyfus plamisty, tyfus brzuszny i zaawansowaną gruźlicę. Wojna zabrała jej rodziców. Została sama.

Po wyzwoleniu zdała egzamin do Łódzkiej Szkoły Teatralnej. Trochę na przekór ówczesnemu mężowi, który powiedział jej: – No tak, jak będziesz zdawać do Krakowa, to cię przyjmą, bo cię tam wszyscy znają. Więc „żeby udowodnić", wyjechała do Łodzi. Rektor uczelni Leon Schiller przyjął ją od razu na drugi rok studiów. Potem, gdy został dyrektorem Teatru Polskiego w Warszawie, zabrał ze sobą swoich studentów z ostatniego roku do stolicy. Dyplom Ewa Kołogórska zrobiła już w Warszawie.

Kiedy mówiła, że po dyplomie jedzie do Teatru Polskiego w Szczecinie, wszyscy pytali zdziwieni: To tam jest teatr? Przyjechała jesienią 1950 r. z nadzieją, że będzie dużo grała. No i rzeczywiście grała. Debiutowała rolą Meli w „Moralności pani Dulskiej", potem była „Panna Maliczewska" też Zapolskiej, „Maszeńka" Afinogenowa i mnóstwo innych ról, z których najmilej wspomina Norę Ibsena, Kleopatrę w „Cezarze i Kleopatrze" Shawa i Mimi w „Rozbójniku" Čapka.

Zawsze wracała

Lubiła grać role charakterystyczne: – Ja chcę grać Hesię, a nie chcę grać Meli – wołała. – Tymczasem jako drobną blondynkę „wsadzali" mnie zawsze w Melę.



ARCHIWUM ARTYSTKI

Ewa Kołogórska w „Kleopatrze"...

Ze Szczecina wyjeżdżała do Poznania, Warszawa i Koszalina. – Aktorzy dzielą się na dwie kategorie – tłumaczy. – Jedni usiłują zmienić dyrektora, drudzy – jak im się dyrektor nie podoba – to zmieniają teatr. Ja należę do tych drugich.

W Poznaniu podczas spektaklu nagle na scenę wparował strażak. Z zimną krwią wygłaszała kwestię, pokazując drogę wyjścia speszonemu intruzowi. Okazało się później, że to był jego pierwszy dzień pracy w teatrze, a przełożony kazał mu obejść wszystkie pomieszczenia.

Zawsze wracała do Szczecina. I znowu grała, grała, aż jej się to znudziło i zaczęła myśleć o reżyserii. No i udało się. Najpierw w wielu sztukach była aktorką i asystentem reżysera, a potem wyreżyserowała już samodzielnie „Igraszki trafu i miłości" Mariveaux. I tak poszło. Zdając eksternistycznie egzamin reżyserski, miała już kilkadziesiąt sztuk na koncie.

Na koniec – Ronia

Podczas jej prób do spektakli nigdy nie dochodziło do awantur. Po prostu potrafiła pomóc aktorowi, bo sama ma doświadczenia aktorskie. Wyreżyserowała m.in. „Balladynę" Słowackiego, „Dom kobiet" Nałkowskiej, „Wujaszka Wanię" Czechowa.

Swój romans ze szczecińską operetką zaczęła od „Życia paryskiego" Offenbacha. A potem to już była stała współpraca z dyrektorem Tadeuszem Bursztynowiczem: on zajmował się stroną muzyczną, a ona aktorską. Tak powstały „Wesołe kumoszki", „Straszny dwór", „Traviata", „Halka", „Tosca", „Madame Butterfly", no i wreszcie słynne niemieckojęzyczne przedstawienia „Błękitna maska", „Hrabina Marica" i „Cygańska miłość".

Reżyserowała także w radiu i telewizji.

– Lata mijały, stuknęła mi siedemdziesiątka i powiedziałam sobie: „Dosyć, nie ma co na starość się wygłupiać" – śmieje się. – Na koniec zrobiłam w Hamburgu dla UNESCO wielkie przedstawienie dla dzieci i młodzieży pt. „Ronia, córka zbójnika" Astrid Lingren, wielką kobyłę na sto osób na scenie i 50 w orkiestrze, i tak zakończyłam swój romans z teatrem. Mam na sumieniu ponad sto premier.

Ewa Kołogórska jest wciąż aktywna. Zna biegle kilka języków, więc tłumaczy sztuki i libretta. Wciąż coś czyta, pisze.

To cudowny człowiek

Ale nie samym teatrem człowiek żyje. Oprócz teatru pani Ewa ma dwie pasje: zwierzęta i podróże.

W jej domu zawsze pełno jest czworonogów. Dzisiaj jest posiadaczką dwóch kotów (Chińczyka z nadgryzionym uchem i mlecznokawowego Faceta) oraz starego psa Żuczka, którego przygarnęła po śmierci sąsiadki. Na balkonie, na parterze dokarmia koty. Kiedyś weszła do pokoju, a tam osiem kotów siedzi na parapecie. – Myślałam, że śnię, jak to zobaczyłam.

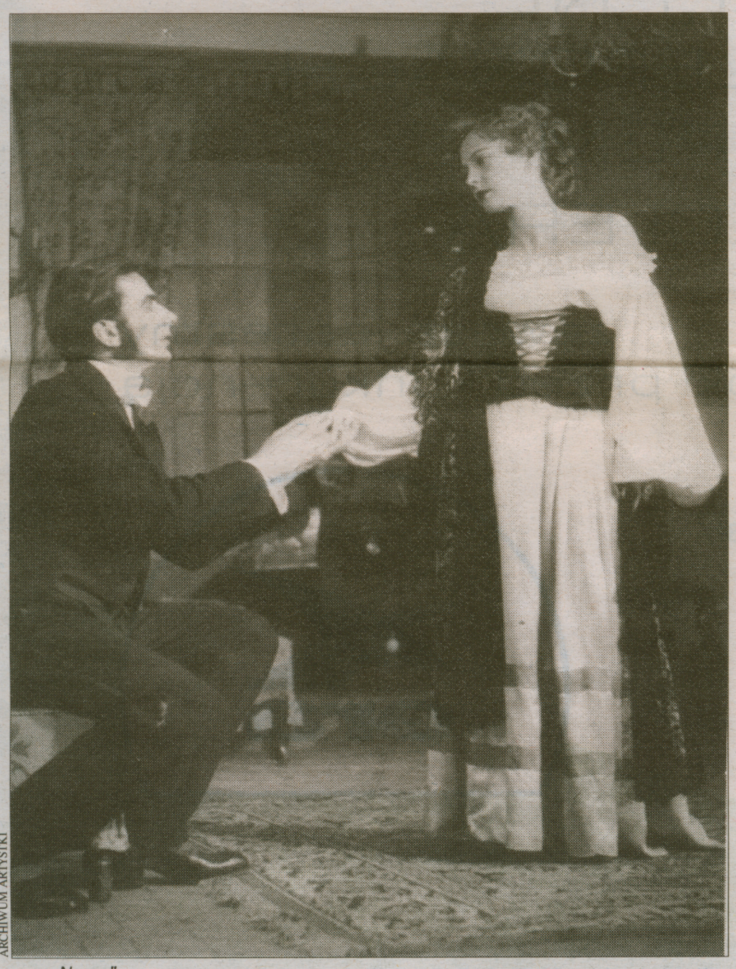
– Ona kocha zwierzęta – mówi jej przyjaciółka Elżbieta Sawicka, solistka Opery na Zamku. – W jej domu zachowują się jakby żyły w raju: kot tuli się do psa, pies do kaczki.

– Co do podróży, to zamknięta przez komuchów miałam ograniczone możliwości poruszania się po świecie, ale za to po otwarciu granic używałam sobie, na ile mi środków starczyło, i zjeździłam prawie całą Europę – mówi pani Ewa. – Zachodnią oczywiście, bo na wschód jakoś mnie nie ciągnęło. I teraz mogę spokojnie wylegiwać się na balkonie, wspominając wszystkie piękne miejsca, które widziałam.

– To cudowny człowiek – powtarza Elżbieta Sawicka. – Mój mąż zawsze mówi, że z nią wolałby coś zgubić, niż z innym znaleźć.

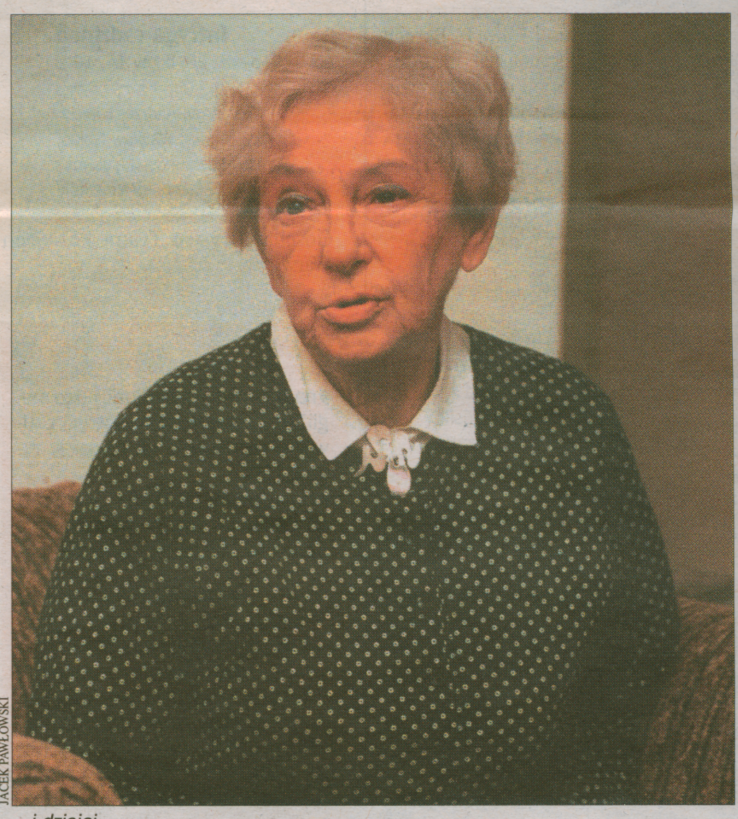
EWA PODGAJNA

Za tydzień selwetka Jacka Polaczka



ARCHIWUM ARTYSTKI

...w „Norze"...



JACEK PAWŁOWSKI

...i dzisiaj